Z PIERWSZEJ LINII FRONTU

Warszawa, dnia 23. VIII. 1944 roku

KAPRAL DIABEŁ I ŁĄCZNIK RYSZARD

Kapral VI-ej kompanii Diabeł i jego łącznik, 12-letni Ryszard, tworzyli parę nierozłączną i jako tacy zapiszą się na zawsze w historii zdobywania PAST'y. Kapral niski, szczupły, zwinny z hełmem spadającym na czoło - Ryszard ciemnowłosy, drobny, o zuchwałych, szelmowskich oczach. Byli jedną istotą, którą ożywiała jedna myśl: zdobyć przeklęty gmach.

PASTA nęka całą dzielnicę obstrzałem...

Kapral Diabeł, znający świetnie dzielnicę, zaczyna wolniutko, nocami przy pomocy jedynie swego łącznika, przeprowadzać dawno obmyślany plan: Chce Niemców zajść od tyłu - narażając przy tym jak najmniejszą liczbę ludzi. Pod osłoną nocy wykuwa cierpliwie otwory w ścianach między sklepami na Pociejowie. Przed samym nosem Niemców powstaje ukryty, bezpieczny korytarz, którym w chwili ataku przejdzie wojsko. Zwinnie, bezszelestnie zsuwa się przez otwór elastyczne ciało kaprala i małego Ryszarda. Każdy nowy otwór - to przybliżenie godziny zwycięstwa. Któregoś dnia kapral własnoręcznie zamyka Niemcom uwięzionym w PAST'cie światło i dostęp wody. Kiedy indziej przez swoje okienka widzi tuż,tuż ponad sobą rozmawiających Niemców. Czeka...

PASTA płonie.

20-ego sierpnia, o godz. 5.30 w nocy rozpoczyna się koncentryczny atak na PAST'ę. Nareszcie. Chłopcy z butelkami, z benzyną wdzierają się na parter, pędzą wyżej, cofają się przed granatami, potykają się, pędzą. Z okien z naprzeciwka wytryska strumień ropy naftowej - równocześnie działają miotacze płomieni. Ogień przylepia się czerwoną ścianą do gmachu, atakuje wnętrze - wieża niknie w kłębach gęstego dymu. Kapral Diabeł i mały Ryszard zawsze na czele, zawsze w pierwszej linii. Widzę go rano, jak czarny od dymu, w podartej odzieży siedzi u stóp PAST'y, trzymając w ręku naszą chorągiew.

- Nie odejdę teraz - powtarza przez zęby - nie odejdę, choćbym miał skonać, dopóki jej własnymi rękami nie zatknę.

Nie odszedł. Pierwszy, biało-czerwony sztandar, który zakwitł w jednym z okien, był jego sztandarem.

Wszędzie go pełno. On wskakuje pierwszy na palące się schody, on dociera w najbardziej zagrożone miejsca, on wymachuje zdobytym kb., eskortuje pierwszą grupę jeńców niemieckich. Wszyscy usuwają się przed nim, dają mu drogę. Uznali prawo bohaterstwa.

- Inaczej byśmy wyglądali - przyznają zgodnie - gdyby nie kapral Diabeł.

PASTA dogasa...

Czasem jeszcze wybuchy palącej się amunicji jak ostatnie dreszcze wstrząsające ciałem kolosa. Po ulicy Zielnej chodzą ludzie - nie ma już niebezpieczeństwa zdradzieckiego ognia.

W przedsionku gmachu stoją: kapral Diabeł i mały łącznik.

Zmęczeni, na pół uwędzeni od dymu - a jednak bezgranicznie szczęśliwi. Miłującym wzrokiem wodzą po osmalonych murach. Są teraz sami z tym olbrzymem, który stał się dla nich celem, kradł im każdą chwilę snu, każdą niemal myśl. Wzięli się za ręce - dwaj dobrzy koledzy, dwaj towarzysze na życie i śmierć.

Nagle wybuch. To granatnik od Saskiego Ogrodu. Huk, biały tuman kurzu i dwie postacie leżące wśród gruzów. Kapral ranny w nogę i draśnięty w szyję, łącznik ciężko ranny w brzuch. Kiedy zabierają ich do punktu sanitarnego, odwracają głowy i długo nie mogą oderwać wzroku od gmachu. Żegnają swój zaszczytny, najpiękniejszy posterunek.

Zapada noc. Kontur PAST'y powoli zapada w mrok... /B./

RĘCE, KTÓRE KATOWAŁY...

W oknach, na balkonach i w bramach ulicy Zielnej rozgorączkowany tłum. Strzelają jeszcze czasem od strony Saskiego Ogrodu, ale nikt już na to nie zważa. Ludzie depczą sobie po nogach, rozpychają łokciami, przewieszają przez poręcze.

Nagle naprężone, zastygłe w twarzach oczekiwanie wybucha jednym spontanicznym okrzykiem, powiewają chustki, chorągiewki, a ręce biją brawa aż do bólu.

To pierwsza grupa niemieckich jeńców wychodzi z PAST'y. Jest ich trzydziestu dwóch. Skurczeni, brudni, wynędzniali, rozdygotane ręce wzniesione wysoko ponad głowę, wzrok błędny, oszalały z przerażenia. Jeden za drugim przesuwają się przed kordon żołnierzy z A.K. Nagle dobrze znany jasny mundur.

- To SS - przewala się głuchy pomruk.

- Nein, nein - Wehrmacht - skomlą blade wargi tchórza.

Pierwszą partię wprowadza się na jedno z podwórek przy ul. Zielnej. Pięści tłumu zaciskają się; gdyby nie obrona naszych żołnierzy, kilkakrotnie doszłoby do samosądu. Ale my szanujemy prawa międzynarodowe.

Trzydziestu dwóch ludzi, ustawionych w czworobok, stoi twarzami do ściany. Żandarmeria polska rewiduje i zabiera dokumenty. Na tej podstawie będą przekazani do obozów koncentracyjnych albo pójdą pod sąd.

Przyprowadzają dodatkowo oficera. Jest bledszy od innych i bełkoce coś niezrozumiale. Pamiętając swoje własne systemy, myśli pewnie, że "polscy bandyci" rozstrzelają go natychmiast. Widzieli go przedtym, jak usiłował zerwać naszywki. Teraz bezprzytomnie zapatrzył się w oczy rewidującego go żołnierza polskiego, jakby chciał wyczytać z nich ilość godzin, które mu pozostały do życia.

W oknach tłum. Teraz już nikt nic nie mówi - twarze są skupione, zastygłe w bezruchu, groźne.

A nad głowami jeńców las podniesionych rąk.

Te ręce pociągały kiedyś za cyngiel, a kula przebijała polskie serce. Te ręce podpisywały wyroki. Te ręce katowały bezbronną ludność.

A teraz chwieje się las bezkrwistych, rozdygotanych rąk.

Chwilami opuszczają je niżej, zaplatają nad głową. Wtedy któryś z naszych wydaje stanowczą komendę:

- Hände hoch. Noch höher.

I w popłochu wyciągają się znowu ręce - chybotliwe, straszne, ręce tchórzów.

Te ręce to symbol poskromionej przemocy, ujarzmionego zła.

I w tej chwili poraz setny chyba uświadamiamy sobie, że do nas należy zwycięstwo.

/B./

POPIOŁY POMŚCIMY

Gruzy fabryki Bormana przy Towarowej. Po drugiej stronie są Niemcy. Jedyną osłonę stanowi przedziurawiony mur od obstrzałów, wygryziony przez ogień. Stąpamy po zgliszczach i gruzach. Tuż pod murem, na drabinie obserwator w czarnym kombinezonie i w hełmie z czarnym orłem - także umundurowani wszyscy żołnierze III plutonu pdch. Molmara. Słychać serię ckm-ów.

- Dziś tu spokojnie - mówi pdch. Molmar. - Wczoraj było gorąco. Pracował granatnik, od strony torów. Nawet w kominie wygryzł dziury. Chłopaki padali jak muchy, mam 6-ciu rannych. W okamgnieniu spalili się dwaj strzelcy, dostali serię z ckm-u. Potem w to samo miejsce upadł pocisk zapalający. Oto, co z nich zostało.

U stóp naszych popalone głownie czarno-szare. Dopiero po chwili rozróżniamy kręgosłup, żebra. Przy nich jakieś pręty - to szczątki P.M.-u i kb. Tuż obok magazynek z amunicją. Odeszli. Ze swoją bronią odeszli chłopcy na wieczną wartę.

Bojowi byli żołnierze, nie mieli razem 35-ciu lat. Posterunku nie oddali.

Wychudła twarz podchorążego ma wyraz uporu, determinacji. Zapadnięte oczy patrzą twardo.

- Panie Komendancie - melduję - przybyły dwa piaty i jeden rkm. Dostaliśmy 50 granatów.

Pdch. Molmar uśmiecha się. Spogląda w stronę muru i przez zaciśnięte usta rzuca:

- Wykurzymy stąd szkopów.

- Wykurzymy. /E./